

JACEK BORKOWICZ

Wszelkie ideowe spory z Żydami w tle – szczególnie zaś spory lewicy z prawicą – działają u nas na zasadzie samograja, który wystarczy tylko nakręcić. Ale tak naprawdę nie chodzi w nich o Żydów.

JAK POLAK Z POLAKIEM

DANIE GŁÓWNE



Wyroki Sądu Okręgowego w Warszawie z 9 lutego 2021 r. przejdzie do historii jako precedens sprawiedliwy i mądry. Nie ma dowodów na to, że Edward Malinowski „jest współwinny śmierci kilkudziesięciu Żydów, którzy ukrywali się w lesie i zostali wydani Niemcom”, jak napisała prof. Barbara Engelking w książce „Dalej jest noc”. Tym samym bezzasadne jest pomówienie go o współudział w tej zbrodni, a stronę pozującą, czyli Filomenę Leszczyńską, bratanicę Malinowskiego, należy przeprosić.

Tylko tyle i aż tyle. Sąd nie wypowiedział się w kwestii profilu moralnego wspomnianego Malinowskiego, okupacyjnego sołtysa wsi Malinowo na Podlasiu, nie ocenił też wartości naukowej dwutomowego dzieła, którego część stanowi opracowanie prof. Engelking. Nie orzekł także, co jest, a co nie jest naruszeniem dobrego imienia oraz godności narodu polskiego. Bo żadna z tych kwestii do kompetencji sądu nie należy. W ten sposób warszawski Sąd Okręgowy sprawnie przepłynął między Scyllą a Charybdą wygórowanych oczekiwań kibiców obu stron tego sporu.

Agrono to liczne, obejmujące spore segmenty kraju, a także bliższą i dalszą zagranicę. Z jednej strony jest to chociażby Reduta Dobrego Imienia, która wspierając powódkę, aprobowała też wniosek jej prawnego pełnomocnika, domagającego się od pozwanych redaktorów pracy zbiorowej, profesorów Jana Grabowskiego i Barbary Engelking, wpłacenia na rzecz pozującej 100 tysięcy złotych oraz przeproszenia pani Leszczyńskiej za pośrednictwem kosztownych ogłoszeń w czołowych polskich mediach. Z drugiej – wpływowe środowiska naukowe, społeczne oraz medialne w Polsce, Europie Zachodniej, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, które apelowały, by sąd w ogóle tej sprawy nie rozpatrywał, gdyż podobne procedury, jak uważają, nie powinny mieć miejsca w demokratycznym państwie prawa.

Czy sąd mógł zdecydować inaczej? – zastanawia się publicysta „Tygodnika Powszechnego” Wojciech Pięciak. „Szukając odpowiedzi, sięgnijmy po analogię. Od wielu lat toczy się w Polsce dyskusja na temat ujawniania materiałów tajnych służb PRL. Od historyka (czy dziennikarza), który chce postawić tezę, że konkretny człowiek wymieniony z nazwiska donosił tym służbom, wymaga się dziś wiele: solidnych dowodów, nie poszlak. Czy podobnych oczekiwań nie można formułować wobec historyka (czy dziennikarza), który twierdzi, że ktoś wymieniony z nazwiska wydał Żydów?”.

Wolność nauki kontra godność narodu

Niestety, oceny tak wyważone jak opinia Pięciaka są u nas wyraźnie odosobnione. Wyrok nie mógł bowiem zadowolić ani jednej, ani też drugiej grupy ideowych kibiców, stojących za plecami pozwanych bądź powódki. Szczególnie w sytuacji, gdy ton wypowiedziom przedstawicieli owoch dwóch grup nadają ludzie prowadzący ze sobą zażartą wojnę na słowa, a czasem już na pięści. Dla nich nie jest to bynajmniej jakaś przykra konieczność, lecz pożądany stan walki, poziom wrzenia adrenaliny, której im widać brakuje w życiu osobistym. Wykorzystują więc każdą okazję, by konflikt ten eskalować. To podgrzewanie stygnącej patelni ma na celu nieustanną mobilizację zwolenników, ale też zagarnięcie pod własne sztandary ostatnich niezwerbowanych, którym z różnych powodów ta polsko-polska wojenka się nie podoba.

Sprawa „Leszczyńska kontra Grabowski i Engelking” do tego celu znakomicie się nadawała. Chociażby dlatego, że słowo „Żyd” budzi w Polsce emocje i długo jeszcze budzić je będzie. I nie są to, niestety, emocje zdrowe. Z tego też powodu wszelkie ideowe spory z Żydami w tle – szczególnie zaś spory lewicy z prawicą – działają u nas na zasadzie samograjka, który wystarczy tylko nakręcić. Ale tak naprawdę nie chodzi w nich o Żydów. W interesującym nas przypadku nie chodzi nawet o dobro trójki osób bezpośrednio w konflikt zaangażowanych.

Popatrzmy, jak jeszcze przed wyrokiem wyglądały argumenty obu stron (nazwijmy je lewą i prawą, choć to uproszczenie). Strona lewa, nierzadko w tonie patosu ocierającego się o histerię, dowodziła, że sam fakt doprowadzenia do procesu będzie uderzeniem w

podstawowe prawa obywatelskie. Nie wolno bowiem tłumić wolności badań naukowych sądowymi wyrokami. Tę ostatnią opinię, samą w sobie niewątpliwie słuszną, wyrażały na przykład poważne gremia uznanych w świecie ośrodków edukacyjnych i badawczych. Im dalej od Polski, tym bardziej pryncypialnie, z czego rodzi się podejrzenie, że sygnatariusze tych rezolucji nie zapoznali się z materialem sprawy, bez wahania podpisując listę, którą przecież już wcześniej podpisali inni akademicy, ich koledzy.

Przy układaniu podobnych apeli dochodziło czasem do rozbratu z logiką, jak w przypadku jednoczesnego oczekiwania, by sąd sprawę oddalił... bądź rozstrzygnął. Oczywiście na korzyść pozwanych.

Strona prawa, z nie mniejszą dawką histeryzującego patosu, upierała się, że sprawa cywilna „Leszczyńska kontra Grabowski i Engelking” jest niczym innym, jak walką o dobre imię i godność narodu polskiego. Polskiemu sądowi nie pozostaje zatem nic innego, niż przykładowo ukarać osoby pozwane, a tym samym dać nauczkę polonofobicznym środowiskom w kraju i na świecie. Ten sposób argumentacji przyjęła także Reduta Dobrego Imienia.

Sąd, jak już wiemy, nie poszedł za żadnym z tych drogowskazów, sprowadzając sprawę z wyżyn ideologicznych batalii do poziomu rozstrzygnięcia oskarżenia o pomówienie. Fakt pomówienia został stwierdzony, zaś winni mają powódkę przeprosić, wysyłając list do pani Leszczyńskiej oraz publikując stosowne oświadczenie na własnej stronie internetowej (Centrum Badań nad Zagładą Żydów). Nie ma tu mowy o żadnych poważnych kosztach finansowych. Nie można chyba także uznać za zbyt surową restrykcję obowiązku sprostowania stosownego fragmentu w kolejnych wydaniach książki „Dalej jest noc”.

Pani Filomena Leszczyńska, jak każdy obywatel, ma prawo domagać się obrony zniesławionej osoby ze swojej rodziny. Sąd, respektując to prawo, naprawia więc krzywdę wyrządzoną powódce – i nikomu więcej



MOŻNA KWESTIONOWAĆ SKUTECZNOŚĆ METOD, JAKICH REDUTA DOBREGO IMIENIA UŻYWA W „PROMOWANIU DOBREGO IMIENIA POLSKI NA ŚWIECIE”, MOŻNA TEŻ KRYTYKOWAĆ EMFATYCZNY JĘZYK, JAKIM POSŁUGUJĄ SIĘ JEJ RZECZNICZY. TRUDNO JEDNAK UZASADNIĆ OPINIĘ, WEDŁUG KTÓREJ JEST TO INSTYTUCJA ZŁA Z SAMEGO TYTUŁU SWOJEGO ISTNIENIA

spośród żyjących. Pokłócone ze sobą fantomy „zagrożonej wolności nauki” i „zagrożonej godności narodu” jak niepyszne ulotniły się z sali rozpraw.

Babcia Filomena i Reduta

Osiemdziesięcioletnia pani Leszczyńska, przez życzliwą jej prasę familiarnie zwana „babcią Filomeną”, mieszka na wsi, niedaleko miejsca tragicznych wydarzeń z 1943 r. Jest niewidoma, a o tym, że jej stryj został fałszywie opisany w książce, dowiedziała się z Radia Maryja. To ona zwróciła się o pomoc do Reduty Dobrego Imienia, której pracownicy wcześniej nie mogli mieć pojęcia o jej istnieniu. Nie są więc prawdziwe sugestie, jakoby ludzie Reduty sami ją „wynaleźli”.

W chustce, zawiązanej pod szyją na supel, pani Filomena rzeczywiście robi wrażenie dobrotliwej podlaskiej babci. Wygląda na osobę niebogata, więc zapewne bez pomocy, jakiej doznała od wynajętych przez Redutę prawników, nie miałyby szans nie tylko na wygranie procesu, ale nawet na doprowadzenie do niego.

Uderza brak empatii, z jakim potraktowała ją lewa strona sporu. W medialnych relacjach tej strony pani Leszczyńska, jeśli już w ogóle została zauważona, to na zasadzie lokalnego kuriozum, chytrze wymyślonego przez ludzi Reduty. A przecież jest to żywy człowiek i w istocie najważniejsza postać całej rozgrywki. W dodatku ikonicznie wręcz pasująca do wizerunku „prostego człowieka”, o którego krzywdę upomina się w znanym wierszu Czesław Miłosz. Autorytet dla środo-

wisk, które podobno wysoko sobie cenią wrażliwość społeczną.

Ale przecież nie o starszą panią z Podlasia tutaj chodzi. Nikt by nią sobie głowy nie zaprzątał, gdyby nie fakt, że ujęła się za nią instytucja, za którą stoi nielubiany reżim. Reduta Dobrego Imienia jest bowiem szczególnym, gdyż wspieranym przez PiS-owski rząd, typem organizacji społecznej. To właśnie, nic innego, wywołuje nieklamana wściekłość jej przeciwników. Gdyby nawet Reduta prowadziła działalność wyłącznie charytatywną, fundowała żłobki i poradnie przeciwalkoholowe i tak by to nic nie pomogło jej prezesowi Maciejowi Świrskiemu. W oczach lewej strony zawsze będzie to aktywność Polsce szkodząca – gdyż patroluje jej Jarosław Kaczyński.

Można kwestionować skuteczność metod, jakich Reduta Dobrego Imienia używa w „promowaniu dobrego imienia Polski na świecie” (o tym za chwilę), można też krytykować emfaticzny język, jakim posługują się jej rzecznicy. Trudno jednak uzasadnić opinię, według której jest to instytucja zła z samego tytułu swojego istnienia. A tak właśnie jest przedstawiana przez lewą stronę polsko-polskiego sporu. A kiedy powtarzają ją bez zająknięcia środowiska żydowskie, budzi to lekkie zdziwienie: przecież Reduta powstała z inspiracji identycznych z tymi, które przed stu laty doprowadziły do założenia Ligi Antydefamacyjnej, do dziś zasłużonej żydowskiej instytucji społecznej.

Sąsiedzkie kłębowski

Tak jest przynajmniej w teorii, czyli na poziomie intencji. Istnieje przecież głębszy, subtelnie ukryty poziom tego konfliktu. Reduta, stając do bitwy o polską pamięć, chcąc nie chcąc, wpisuje się w tę samą opowieść, której wcześniejsze rozdziały

prowadzą nas w głąb mrocznych lat 40. O ile historia tych czasów jest skomplikowana, o tyle okoliczności, a także bezpośrednie następstwa rozstrzelania przez niemiecką żandarmerię 18 Żydów (nie „kilkudziesięciu”, jak podaje w książce prof. Engelking), jesienią 1943 r. w lesie za wioską Malinowo, to komplikacja do kwadratu. Aby je szczegółowo przedstawić, trzeba by napisać wyjaśnienie znacznie przekraczające objętością ramy tekstu publicystycznego. Dość powiedzieć, że Malinowo to typowy drobnoszlachecki zaścianek, w którym jeszcze za okupacji duża część, jeżeli nie większość mieszkańców, nosiła nazwisko Malinowski. Historykowi łatwo tu o pomyłkę i takiej właśnie pomyłce uległa pani profesor. Zachowane zeznania świadków w procesie, jaki w sprawie tej zbrodni odbył się niedługo po wojnie, prowokują więcej pytań, niż dają rzetelnych odpowiedzi. Ten niedostatek wiedzy może kusić badacza, by luki w źródłach uzupełnić własnymi domysłami. Prof. Engelking poszła tą drogą i to okazało się jej drugim, poważniejszym już błędem, gdy bez dowodów opisała stryjka pani Leszczyńskiej jako współsprawcę mordu.

Jedno, co z tych akt bezsprzecznie wyziera, to kłębowski międzyludzki emocji, jakim w czasach wojny i powojnia były okolice Malinowa. I nie chodzi tu nawet o relacje polsko-żydowskie, lecz o to, co działo się między samymi nieżydowskimi sąsiadami. Korowód zadawnionych waśni i zawiści, których przyczyny i skutków nie sposób już rozwikłać, nie znając tych ludzi osobiście. Dochodzi do tego jeszcze okoliczność, którą lewa strona sporu przyjmuje do wiadomości wyraźnie niechętnie. Otóż w Malinowie wojna nie skończyła się w 1945 r., ona tam trwała jeszcze kilka

dobrych lat. Z perspektywy podlaskiej wsi była to przecież kolejna okupacja. Z kolejną, tym razem czerwoną policją, aresztującą chłopów, z partyzantami, którzy pojawiali się tam niemal każdego wieczora, wreszcie z donosami oraz zemstą na donosicielach.

Jedną z ofiar donosu był właśnie Edward Malinowski, aresztowany w 1949 r., a uniewinniony w roku następnym. Czy był to zatem donos fałszywy? Raczej tak, choć całkowitej pewności nie mamy. Rzecz w tym, że ci, którzy ów donos złożyli, prawdopodobnie sympatyzowali z nową władzą, Malinowskiemu zaś chyba bliżej było do „leśnych”, których dzisiaj nazywamy „wyklętymi”.

Jeśli komuś mało tych wyjaśnień, niech sam sięgnie do akt. A jeżeli nie lubi „komuny”, lub przeciwnie, nie przepada za „wyklętymi”, może zabawić się w psychologa i stworzyć własną wersję tamtych wydarzeń. Powinien być tylko ostrożny przy pisaniu kolejnej książki.

Nie róbnmy z nich wrogów

Wyrok zapadł w pierwszej instancji, a skazani zapowiedzieli odwołanie. Jednak zważywszy na wszystko, co napisano powyżej, wydawałoby się, że najlepszą dla nich rzeczą byłoby już teraz poddać się wyrokowi i po prostu przeprosić panią Filomenę. Ciągnięcie tej sprawy niczego dobrego nie przyniesie.

W teorii jest to może i proste, jednak spróbujmy przez chwilę wejść w skórę pana lub pani profesor. W ich obronę zaangażowały się przecież autorytety naukowe z kilku kontynentów! Siła, która działa już według własnego porządku, niekoniecznie zgodnego z ewentualnymi dobrymi intencjami samych zainteresowanych. Grabowski i Engelking to nie jest już tylko dwójka naukowców – to hasło polityczne, tryb w machinie ideologicznej walki, której skala przerasta interesy jednostek. Ich decyzja przestała być prywatnym wyborem. Przynajmniej tak mogą to odczuwać.

Przynajmniej z tego powodu nie powinniśmy już dłużej robić z nich wrogów publicznych. Nie zasługują na to profesor Barbara Engelking, ceniona specjalistka od historii Zagłady, nagrodzona medalem imienia Jerzego Giedroycia za monografię warszawskiego getta. Pani Engelking nie ma dobrej prasy po prawej stronie naszego wewnętrznego sporu, odkąd powiedziała przed telewizyjną kamerą, że w okupowanej przez Niemców Polsce śmierć była czymś więcej dla Żyda niż dla Polaka. Słuchacz z antropologiczną wrażliwością zapewne domyślił się, że uczonemu chodziło o przeżywanie śmierci w dwóch różnych kulturach, nie zaś o jej obiektywne wartościowanie. Jednak dla przeciętnego telewidza musiało to zabrzmieć strasznie. Ale niech pierwszy rzuci w nią kamieniem ten z naukowców, któremu nigdy nie zdarzyło się palnąć głupstwa w miejscu publicznym. Prof. Engelking zachowała się na pewno wysoce niezręcznie, nie była to jednak wypowiedź antypolska – jak głoszą niechętnie jej media.

Także Jan Grabowski, profesor uniwersytetu w Ottawie, jest poważnym, wieloletnim badaczem historii Zagłady. Metoda jego pracy wywołuje jednak w Polsce kontrowersje i z ręką na sercu nie można powiedzieć, że są one nieuzasadnione. Lekki retusz, usuwający w cień mniej chlubne żydowskie postawy podczas okupacji, w połączeniu z mocniejszą już tendencją do akcentowania tych zachowań Polaków wobec Żydów, które do dziś przysparzają nam wstydu, a nie chwały – to wszystko razem tworzy w profesorskiej narracji cienką, lecz wyraźną linię podziału między „dobrymi” Żydami a „złymi” Polakami. A przecież nie tak powinno tworzyć się historię, która pomogłaby zrozumieć nasze wzajemne relacje.

Ten ogólny zarzut odnosi się także do wkładu prof. Grabowskiego w wymienioną już tutaj kilkakrotnie pracę zbiorową „Dalej jest noc”. Ale na ogólnym tle polskiej historiografii Zagłady dzieło, którego Grabowski i Engelking są redaktorami, tak czy inaczej pozostanie pracą pionierską. Owszem, zawiera błędy, które pracowicie wypunktowali Grabowskiemu historycy z IPN. Chwała im za to, że moźolnie dotarli do prawdy, ale przyznać trzeba, że gdyby nie sprowokował ich do tego profesor z Ottawy, obszerne segmenty dziejów relacji polsko-żydowskich podczas okupacji prawdopodobnie nadal stanowiłyby dla nas terra incognita.

Dobrze więc się stało, że sąd w Warszawie wydał wyrok rozsądny, bo powściągliwy. Finansowe i moralne gnębienie rzekomych wrogów dobrego imienia narodu przysporzyłoby nam tylko niepopularności na szero-



Prof. Barbara Engelking i prof. Jan Grabowski – autorzy książki „Dalej jest noc”

kim świecie, gdzie i tak, szczególnie po niesławnej próbie wprowadzenia ustawy o IPN, uchodzimy za naród antysemitów. To niesprawiedliwa łątka, jak każdy stereotyp, jednak musimy się liczyć z jej istnie-



FINANSOWE I MORALNE GNĘBIENIE RZEKOMYCH WROGÓW DOBREGO IMIENIA NARODU PRZYSPORZYŁOBY NAM TYLKO NIEPOPULARNOŚCI NA SZEROKIM ŚWIECIE, GDZIE I TAK, SZCZEGÓLNIEMO PO NIESŁAWNEJ PRÓBIE WPROWADZENIA USTAWY O IPN, UCHODZIMY ZA NARÓD ANTYSEMITÓW. TO NIESPRAWIEDLIWA ŁĄTKA, JAK KAŻDY STEREOTYP, JEDNAK MUSIMY SIĘ LICZYĆ Z JEJ ISTNIENIEM

niem. I nie wolno nam wmawiać sobie, że tak już widać musi być. Z antypolonizmem należy walczyć, ale nie krzykiem, lecz spokojnymi, konsekwentnie powtarzanymi argumentami.

Jest jeszcze bolesna kwestia owych 200 tysięcy „lub nawet znacznie większej liczby” Żydów, którzy wyrwawszy się z gett w czasie ich likwidacji, ostatecznie zginęli – jak upiera się profesor Grabowski – przy znaczącym współudziale Polaków. Grabowski bazuje tutaj na jednym, ogólnie wykoncypowanym rachunku arytmetycznym. Tymczasem historia uczy nas, że takie odgórne, dedukcyjne wyliczenia na ogół bywają zawodne, a rzeczywiste liczby ofiar, po dokładnym zbadaniu, z reguły okazują się dużo mniejsze. Paradoksalnie dowodzi tego również praca „Dalej jest noc”, której autorzy, badając wyrywkowo powiaty Generalnego Gubernatorstwa i Okręgu Białostockiego, doliczyli się tam znacznie mniej Żydów zabitych przez Polaków, niżby to miało wynikać z przyjętych przez Grabowskiego założeń. Podobnymi statystykami wykazał się w swojej

części opracowania nawet sam Grabowski. Gdyby przyjąć, że w całej reszcie kraju sytuacja wyglądała analogicznie – a wybór powiatów w książce wygląda na przekrojowy – ogólna liczba zabójstw Żydów, dokonanych przez polskich sprawców, nie powinna przekraczać 30–40 tysięcy. To także jest rachunek straszliwy, ale to jednak inny rząd wielkości.

Czy w takim razie nie lepiej byłoby, zamiast potykać się z nim po sądach, dać Grabowskiemu środki na dalsze badania terenowe? Niech opisuje kolejne powiaty, aż opiszemy wszystkie. Wtedy sam się przekona, że nie miał racji.

Jaskółka dialogu

Profesor Jan Grabowski wywodzi się z rodziny o żydowskich korzeniach, która już na długo przed II wojną światową zasymilowana była z polskością. Zalicza się więc do tego specyficznego środowiska, które żydowską wrażliwość łączy z wrażliwością polskiego inteligenta. To rzadkie połączenie daje w sumie cenny obszar recepcji, oceny różnych aspektów naszej rzeczywistości, których zazwyczaj nawet nie dostrzegamy. Ale oczywiście nie daje to gwarancji nieomyślności. Człowiek jest istotą wewnętrznie wolną, i zarówno ze swoim żydowskim, jak i polskim dziedzictwem może zrobić, co mu się żywnie podoba.

Ale jedynie przyjęcie tej wspólnej perspektywy daje nam szansę na zrozumienie pewnego paradoksu. Gdy piszemy „Polacy zabili Żydów”, posługujemy się językiem twardej okupacyjnej rzeczywistości. Ktoś zabijał, ktoś był zabijany – i trzeba to w sposób czytelny nazwać. Brzmi to drastycznie, ale innego języka nie mamy. Jednak gdy odczytujemy na oświęcimskich tablicach, a także w notach encyklopedycznych o Auschwitz informację o tym, że zamordowano tam tyłu a tyłu Żydów, i tyłu a tyłu Polaków – dotykamy nieprawdy. Nieprawdy, nie zaś kłamstwa, bo nikt nie miał tutaj intencji kłamania. Po prostu taki sposób myślenia odziedziczyliśmy po wojnie. I nikt tego dotąd nie zmienił.

Tymczasem duża część z tych, których w oświęcimskich krematoriach spalono jako Żydów, była Polakami. To znaczy – także Polakami. I to nie tylko w sensie obywatelskim, lecz także etnicznym, narodowym. Ludzie ci byli Polakami, bo jako Żydzi z pochodzenia mieli polską



JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

świadomość oraz polską kulturę. Dlatego liczba Polaków, którzy zginęli z Auschwitz, jest większa od tej, którą się podaje. O ile większa? Tego już nigdy nie dojdziemy. I nawet nie powinniśmy. Męczeństwo Auschwitz, które w intencji Hitlera miało nas, Polaków i Żydów, definitywnie podzielić, w istocie zespoliło nas jeszcze bardziej. Gdy wrzucimy do ognia gałąź wyrosłą w dwóch osobnych szczepów, nikt już przecież nie będzie pytał, jaki procent soków w palącym się drewnie pochodzi stąd, jaki zaś stamtąd.

O tej perspektywie piszemy na łamach „Rzeczypospolitej” od kilku lat. I wydawało się, że jesteśmy w tym odosobnieni. Jednak w maju ubiegłego roku pojawiła się jaskółka nadziei. Podczas dyskusji, zaprezentowanej na portalu Jewish.org, Jan Tomasz Gross – także osoba dziedzicząca ową podwójną wrażliwość i też uznawana przez prawą stronę za publicznego wroga – opowiedział się za „potrzebą odejścia od siatki pojęciowej wymyślonej przez endeka. Ilekroć mówimy »Polacy i Żydzi«, [tylekroć] odbieramy Żydom charakterystykę obywatelskości”. Gross powiedział to podczas rozmowy z Grabowskim, który, o ile nam wiadomo, nie zaoponował.

Ktoś, kto na horyzoncie usilnie wypatruje jaskółek, nie mógł tego momentu nie zauważyć. A także – nie interpretować go, mimo wszelkiego złego, jakie się między nami dokonało, jako gest wyciągniętej ręki.

Może właśnie ta obywatelska perspektywa pozwoliłaby nam, pogrążonym w sporach, na podjęcie na nowo trudnej i ryzykownej drogi pojednania? Pojednania polsko-polskiego, bo nie ma czegoś takiego, jak wojna polsko-żydowska. Ta wojna istnieje jedynie wirtualnie, a proklamowały ją trolle Putina. Natomiast spór o żydowski rozdział naszej najnowszej historii jest jednym z nielicznych poważnych polsko-polskich sporów, które naprawdę warto kontynuować. Byle w formie dialogu. ©©